ŚWIATŁO

Rok VI. Bytom G.-Sz., 15. Lutego 1892. **Nr. 4.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste Nr. 81) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 30 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

PIOTR WŁAST,

PALATYN WROCŁAWSKI.

(Ciąg dalszy.)

III.

Do Krakowa przybywszy, stanął Jaksa kwaterą u znanego sobie mieszczanina a potem rozglądać się począł po mieście a pytać, jako tam na książęcym dworze się działo.

Przypadek zdarzył, że napotkał dworzanina książęcego Helmuta, Niemca rodem, którego poznał w niemieckich krajach. Dobry to był towarzysz i Jaksie przyjaciel, ale włóczęgę po świecie lubił i przygód szukał, żyć prawie bez nich nie mogąc.

Za księżną Agnieszką, która z cesarskiego rodu była, przyplątał się też do Krakowa i pomieszczenie między dworzanami księżnej znalazł, która rada Niemcami się otaczała, co rzeczą dziwną nie było, bo zawsze swój lgnie do swego.

Ów Helmut, spotkawszy Jaksę, wielce się ucieszył i witając serdecznie, pytał, po co by do Krakowa przyjechał.

— Pokłonić się księciu a panu — odrzekł Jaksa — i służby mu moje ofiarować.

Helmut się uśmiechnął i jął prawić, że na dworze nikt o księcia nie pyta, jeno o księżnę, która wszystkiem rządzi a o Dobka.

— Dobek? Co to zacz? — zapytał Jaksa.

Na to pytanie Helmut ręce załamał.

— Zkądże przybywasz? — zawołał.

— Z mojego gródka — rzekł spokojnie Jaksa.

— I o Dobku tam nie wiecie?

— Wiem o naszym księciu, o wojewodach, Żupanach, urzędnikach, o ojcach duchownych... ale... o Dobku! cóż mi tam jeden jakiś dworak! Któż on? Polak? Niemiec? — począł Jaksa zwolna.

— Patrzcież go! — zawołał — na dwór jedzie, niewiedząc, co się na nim dzieje, kto tu rządzi i co kto znaczy!

— Nauczże mnie — rzekł obojętnie Jaksa.

— Trafiłeś na takiego, co więcej zgaduje, niż wie — począł Helmut — zawsze jednak pono lepiej od ciebie będę uwiadomiony. Co do pana Dobka, mnie się on na pewno wydaje Niem-

cem, choć on i za waszego brata uchodzić i sprzedawać się umie. Za młodu pono dostał się do was, żył i tu, powracał do Niemiec, chleba kosztował wszelkiego, jest tym, kim mu być potrzeba. U księżnej Agnieszki on wszechmocny, marszałkuje u niej, u króla, nadwornemu rycerstwu hetmani, trzyma od skarbca klucze, jest pierwszym doradzcą. Chcesz rady i przestrogi — dodał — masz wiedzieć, że tu niema w Krakowie jeno księżna pani, a Dobek... książę się z dziećmi bawi, na łowy jeździ, gonitwy sprawia i wczasu używa. Do niego ci darmo iść i prosić o cokolwiek bądź... nie może nic.

— Mam silne polecenie i listy od stryja mego biskupa — wtrącił Jaksa.

— Zostaw je w kieszeni — przerwał Helmut — więcej ci to zaszkodzić niż pomódz może. Choć obcy nasłuchałem się przypadkowo mów różnych. Z biskupami my tu niekoniecznieśmy w przyjaźni. Od Wrocławia zaś zawiewa owym Petrkiem, którego tu nienawidzą. Dobek zazdrości mu i odgraża się nań. Wnet cię w podejrzenie podadzą listy i niechęć ściągną.

Roztropny Niemiec w istocie życzliwą dał radę i Jaksa musiał uznać, że miał słuszność.

Nasłuchawszy się opowiadania Helmuta, Jaksa rozmyślał, co czynić. Wreszcie postanowił udać się nazajutrz do biskupa krakowskiego po radę.

Przystęp do pasterza nie był trudny; wpuszczono go natychmiast. Staruszek przygarbiony z twarzą łagodną, włosy siwemi, wyszedł powolnym krokiem ku niemu na kijku się opierając. Był to Rupert Korabita, niegdyś także wrocławski pasterz, potem krakowski, mąż miłujący spokój, dla ubogich dobroczynny, wszystkim przystępny, ale już podeszłym wiekiem oderwany od świata i więcej o przyszłych myślący rzeczach.

Gdy mu Jaksa od ks. Janika poselstwo sprawiał, na wspomnienie Wrocławia uśmiechnął się staruszek i westchnął głęboko.

— Z Wrocławia więc jedziecie — odezwał się — o! jak miło mi widzieć was! Tęsknię dotąd za moją pierwszą owczarnią i trzódką wiernych, z któremi tak dobrze mi było, wprawdzie, niech imię Boże będzie błogosławione, dobrze jest i tu! ale się dawne lata chętnie na starość wspomina.

Potrząsł głową siwą.

— Tutaj stolica, pański dwór, ludzi wiele, tłumno, gwarno, pokoju mniej, a ja więcej go dziś pragnę.

I począł rozpytywać o Wrocław, o Petrka, o wiele osób i rzeczy, o których Jaksa mało mu powiedzieć umiał.

W ostatku rozjaśniło się o co szło, iż ks. Janik prosił, aby ks. Rupert młodzieńca do dworu pańskiego polecił i wstęp mu doń mógł ułatwić.

Starzec pilno i długo popatrzył na mówiącego.

— Do zalecania jam się mało zdał pono, dziecko moje — odezwał się biskup — u dworu nie wiele mam zachowania, szczęścia do niego jeszcze mniej. Księżna pani kapelana ma Niemca, księcia ja widuję mało, chyba czasu uroczystości. Na nas duchowną starszyznę źle tam patrzą, zwłaszcza na ojczyców, cośmy tutejsi.

A po chwili szepnął biskup półgłosem:

— Marszałek Dobek nie jest mi życzliwym.

Znowu ze wspomnieniem o Dobku spotkawszy się Jaksa, mógł się przekonać, że niedarmo o jego wpływie i mocy mówiono powszechnie. Ks. Rupert zaraz zmieniając rozmowę, powrócił do wrocławskich rzeczy, do ks. Janika i Petrka, o którym sobie rozpowiadać kazał wiele, bo go szanował i kochał. Naostatek nie obiecując nic i nie ofiarując pośrednictwa swego, któreby się przydać nie mogło, staruszek opuścił Jaksę z błogosławieństwem.

Nie pozostawało więc nic, jak nazajutrz samemu na dwór iść i drogę sobie torować. Nie myślał jednak za radą Helmuta ani Dobka szukać, ani się do księżnej wciskać, ale wprost księciu się stawić.

Gdy wypocząwszy po drodze, rano się na zamek wybrał, słońce już było

wysoko na niebie. Koni i ludzi zabierać nie widząc potrzeby, bo do zamku niedaleko było, a tam się dworno stawić, na nic nie zdało.

W bramie znalazł straż niemiecką z hallebardami, która go przepuściła nie pytając, zobaczywszy rycersko odzianego młodzieńca. W dali pode dworem widać było liczną zwijającą się czeladź, odzianą barwy jasnemi, w sukniach przepołowionych, pół żółtych, strojną i żwawą. U drzwi jednych gromada jej stała znaczna. Jaksie zdało się, iż tu być musiały komnaty książęce. Dwornia zmierzywszy go oczyma z uśmiechem i lekceważeniem, gdy o księcia zapytał, odprawiła wskazując drugą wystawkę, przed którą dwóch starszych ludzi na ławach siedziało.

Tu, owi starzy słudzy, na zapytanie o pana, trochę okazawszy zdziwienia, iż ktoś ks. Władysława widzieć zapragnął, do którego mało się kto wprost udawał; powiedzieli mu, że książę nocą z łowów powrócił i jeszcze zasypia, ale wkrótce się pewnie obudzi.

Dodał jeden, wskazując izbę, że jeśli chce, poczekać tam może.

Po cichu wszedł do niej Jaksa.

Stała prawie pusta, kilka psów się w niej wylegiwało; te posłyszawszy nadchodzącego, głowy popodnosiły, ziewnęły i znowu spać się pokładły.

Kilku dworskich w ciemnych kątach drzemało na ławach; pacholąt dwoje szeptało coś przekomarzając się sobie.

Siadł i Jaksa na ławie cierpliwości zażywając, co chwila się spodziewając jakiegoś końca oczekiwaniu i nie wiedząc, czy siedzieć dłużej czy odejść precz.

Zbyt długo już napróżno tu się wyczekawszy Jaksa miał odchodzić z niczem, gdy jeden z podkomorzych dał mu znak, że książę wynijdzie wkrótce. Na tego przybysza niezwykłego wszyscy tu patrzali mocno zaciekawieni i zdumieni, jak gdyby się nigdy nie trafiło, by tu kto ze sprawą, z prośbą, z pokłonem do księcia się udawał.

Naostatek podniosła się zasłona, przodem wystąpiły dwa psy ogromne, za niemi szedł stary otyły mężczyzna z laską, po nim dopiero sunął książe, którego Jaksa domyślił się z tego, że miał głowę nakrytą. Inaczej może trudnoby go było rozeznać w pośród dworu, gdyż pańskiej postawy nie miał.

Zobaczywszy nieznanego Jaksę, książe mocno się wpatrzył w niego. Stanął i oczyma zdawał pytać, coby on tu robił?

— Miłościwy panie — odezwał się młody, schylając mu się do kolan — jestem Marek Jaksa z Miechowa.

— Jaksa? — powtórzył książe. — Jaksów wiem. Cóż chce Jaksa z Miechowa?

— Przychodzę służby moje ofiarować miłości waszej.

Książe wysłuchawszy, popatrzał nic nie odpowiadając, mierzył go oczyma w pół sennemi od stóp do głowy, jakby niewiedział co ma odpowiedzieć; wreszcie zawahawszy się, odezwał:

— Gdzieżeście przedtem byli?

Nie dobrze zrozumiał to zapytany.

— Miłościwy panie, — odparł — nie służyłem nikomu.

— Nie byliście u nikogo na dworze? — powtórzył uśmiechając się książę.

— Nie, wprost z domu na dwór wasz idę — rzekł Jaksa.

Książę Władysław zdawał się coraz bardziej zdumionym.

— Rycersko pewnie służyć byście radzi, rycersko? bo to wam przystało.

— Co miłość Wasza rozkażecie, spełnię — odparł Jaksa.

Podniósł rękę książę, dumał niepewny czas jakiś i rzekł w końcu:

— Dobrze, do Dobka z tem. To jego rzecz... tak... do Marszałka, do Dobka!

Powiódł oczyma do koła, ziewnął, uśmiechnął się, dobrotliwie młodzieńca po ramieniu poklepał, mruknął »piękny chłop!« i począł iść dalej. Jaksa stał nie wiedząc, co ma czynić.

Rozkazanie pańskie spełnić było potrzeba; zawrócił się nazad w podwórze i rad nie rad, u dworzan pytać począł o Marszałka Dobka, bez którego nic się tu nie działo.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

SERCE LUDZKIE.

Serce ludzkie — to drzewo, co w wiośnie
W strój majowy się zdobi radośnie;
Latem wieńczy koronę swą w kwiaty,
By na jesień plon wydać bogaty;
Wreszcie, z szaty odarte swej w zimie,
Traci siły, przysycha i drzemie...

Biada drzewu, gdy mu liście zielone,
Już śród wiosny poszarpią owady!
Biada sercu, gdy w niem marzeń zasłonę
Zedrze z młodu zwątpienia duch blady!...

Biada drzewu, gdy mu latem brak rosy,
Bo wśród skwaru zbyt prędko usycha!
Biada sercu, co nie patrząc w niebiosy
Czerpie życia treść, z zmysłów kielicha!...

Biada drzewu, gdy w jesieni przedwcześnie,
Wiatr mu owoc i liście rozwieje!
Biada sercu, gdy w niem życie boleśnie
Starga męstwo i zgasi nadzieję!...

Biada drzewu, gdy w zimowej zamieci,
Miast snu, znajdzie godzinę skonania!
Biada sercu, gdy mu jasny nie świeci,
W chwili śmierci brzask zmartwychpowstania!...

Serce ludzkie — to drzewo — jak ono
Często wieńczy się szczęścia koroną,
I, przeszedłszy przez lato uniesień,
Owoc czynów przynosi na jesień;
Czasem więdnie w rozkwitu godzinie,
A niekiedy na wiosnę już ginie.

F. Nowodworski.

ŚWIĘTY IGNACY, BISKUP I MĘCZENNIK.

(Z obrazkiem.)

Święty Ignacy miał to szczęście widzieć Apostołów i słyszeć ich nauki. Najwięcej nauczył się od św. Jana Ewangelisty. A pono nawet miał widzieć samego Pana Jezusa. Wedle pobożnego bowiem podania on to miał być tem dziecięciem, które Pan Jezus, chcąc nauczyć pokory swych uczniów, postawił między nimi, mówiąc: Jeśli się nie staniecie jako małe dziatki, nie wnijdziecie do królestwa Bożego.

Słuchając nauk św. Jana Ewangelisty i patrząc na święte jego życie, gruntownie poznał naukę wiary św. i naśladował skrzętnie świątobliwość swego mistrza. Został dla tych przymiotów biskupem w Antiochii, gdzie pierwszym biskupem był Piotr święty, Apostół, zanim do Rzymu poszedł. Rozpalony gorącą miłością Syna Bożego z wielkim zapałem rozszerzał Jego chwałę. Chrześcianom zdawało się, jakoby nosił ze sobą Pana Boga i dla tego nazwano go Bogonośnym. Może też rzeczywiście nosił ze sobą Pana Jezusa w Najśw. Sakramencie, odwiedzając chorych i więźniów. Ten uczony, gorliwy i święty biskup wielu pogan do wiary Chrystusowej nawrócił i pomnożył swoją owczarnią nowemi owieczkami. Lecz swoję gorliwość o chwałę Bożą i o zbawienie dusz życiem przypłacił. Kiedy bowiem cesarz rzymski Trajan idąc na wojnę przybył do Antiochii, zaraz poganie oskarzyli świętego biskupa przed tym cesarzem o nawracanie pogan do Chrystusa. Cesarz poganin i prześladowca wiary Chrystusowej kazał przed siebie stawić się świętemu biskupowi, a gdy go nie mógł nakłonić do kłaniania się bożkom pogańskim, osądził go na pożarcie przez dzikie zwierzęta w cyrku w Rzymie. Nie zatrwożył ten wyrok okrutny św. Ignacego, bo był zawsze gotów życie swoje stracić dla Pana Jezusa w tej nadziei, że lepsze znajdzie w królestwie niebieskiem. Wydany został żołnierzom, którzy go związali i pastwili się nad nim wśród podróży do Rzymu, jak dzikie zwierzęta nad swą zdobyczą. Przykrości niezmierne ponosił od tych oprawców, i żali się na nich w liście pisanym w podróży, nazywając ich lampartami. Ale pociesza się tem, iż mu Pan Bóg łaskę wielką świadczy, pozwalając mu cierpieć dla imienia Swego.

Pisze bowiem w jednym ze swych listów: Ogień, krzyż, bestye, rozsiekania, ćwiartowania, kości łamania, zmełcie ciała wszystkiego i inne djabelskie męki niech przyjdą na mię, bylebym Jezusa miał. Przywiedziony do Rzymu, został w cyrku porzucony na pastwę dzikim zwierzętom w obec licznie zgromadzonego ludu, który w swej ślepocie bawił się tym okropnym widokiem.

Za wzorem św. Ignacego:

1. Noś w sercu swojem Jezusa, żyjąc w łasce Boskiej po wszystkie dni twego żywota

2. Jeśli nie masz sposobności cierpieć za wiarę św., znoś przynajmniej cierpliwie i z poddaniem się woli Bożej krzyże, jakie Pan Bóg na ciebie kładzie.

Czem ludzie świecą?

Od niepamiętnych czasów ludzie nie zadawalniali się światłem słonecznem, lecz starali się dzień przedłużyć po zachodzie słońca.

Z początku dopóki nie mieli stałych mieszkań, roznieciali ognisko w celu ogrzania się podczas nocnych chłodów, lub odstraszenia dzikich zwierząt, które, jak wiadomo, boją się światła. Potem, kiedy już pobudowali sobie domy, nudziło im się pociemku, (zwłaszcza zamieszkałym w zimnym lub umiarkowanym klimacie), podczas zimowych długich nocy, skracali je więc, paląc drewka w kominie, lub łuczywo.

Do dziś dnia w niektórych okolicach Litwy, przygotowują na zimę zapas smolnych drzazg, które z jednego końca zapalają, a drugim wtykają pomiędzy belki ściany.

To pierwotne oświetlenie zastępowali następnie olejnemi lampkami, które składały się z naczynia napełnionego olejem, i zanurzonego weń knota. Takim sposobem dotąd oświetlają sobie mieszkania daleko na północy zamieszkałe ludy, tylko, że zamiast oleju, używają tranu wytopionego z tłuszczu ryb i zwierząt morskich. Następnie zaczęto wyrabiać świece z łoju baraniego, wosku i stearyny. Później dopiero próbowano używać nafty i gazu. Aż nareszcie w ostatnich czasach odkryto nowy sposób oświetlania, zwany światłem elektrycznem, które, chociaż co do jasności przewyższa wszystkie inne światła, jednak z powodu, że sposób otrzymywania go nie jest dostatecznie udoskonalony i drogo kosztuje, w powszechne użycie wejść jeszcze nie może.

Prócz wszystkich wyżej wymienionych sposobów, dzicy, mieszkańcy północnej Ameryki, używają szczególniejszego rodzaju żywych latarni.

Jest to nic innego jak owad, zwany Kukujo, z tego samego gatunku świetlików co nasz robaczek świętojański, przyświecający w końcu czerwca, i przez lipiec blado-niebieskawem światełkiem. Z tą tylko różnicą, że amerykański świetlik jest daleko większy, więc też świeci jaśniej.

Dzicy Amerykanie, udając się w drogę nocą, przez ciemny las, łapią takiego świetlika i przywiązują go delikatnie łyczkiem do wielkiego palca u nogi. Tak oświetlają sobie drogę, po przebyciu której świetlika puszczają na wolność; bo owad ten, jako bardzo użyteczny, jest u nich w wielkiem poszanowaniu.

Nie tylko w podróży używają za latarnię świetlika, i w domach robią sobie z niego lampy, takim oto sposobem. Wydrążają dynię i wiercą w niej wiele sporych otworów, w środek dyni wkładają kilka świetlików, które w nocy tak świecą, że przy świetle tem nawet szyć można.

1. Olej. Olej używany do palenia, wytłacza się z nasion pewnych roślin, które w tym celu są hodowane. Do nich należą: rzepak, rzepucha, len, konopie,

mak, słonecznik. Najdelikatniejszy olej jest makowy i słonecznikowy.

Zwykle olej, dopóki świeży, służy do kraszenia jadła, a jak się zestarzeje, do smarowania maszyn i do palenia.

Dziś prawie zupełnie wyszedł z użycia, bo go zastąpiła tańsza i jaśniej płonąca nafta.

2. **Wosk** Wosk wyrabiają pszczoły z pyłku kwiatowego, występuje on na ciele pszczoły w postaci blaszek skrzepłego pyłku, który te pracowite owady zgarniają i lepią zeń komórki, przeznaczone na przechowanie miodu i wylęganie młodych. Nabożeństwa pierwszych chrześcian odbywały się przy świetle woskowych świec, i dotąd jak wiadomo, podczas mszy świętej, koniecznie, choć dwie woskowe świece palić się muszą.



Św. Ignacy b. i m. (Zobacz artykuł na str. 52.)

Świece z wosku wyrabiają maszynami w fabrykach, lub też rękami.

3. **Świece woskowe.** Do zawieszonej wysoko obręczy przymocowują knoty, i skręcając je ciągle palcami, u dołu oblewają roztopionym woskiem, który szybko krzepnie; to powtarzają dopóki świeca nie stanie się dostatecznie grubą.

Potem niezupełnie stwardniałe wałkują na stole dla nadania im okrągłej formy.

Robią innym jeszcze sposobem, mianowicie: knoty, przed przywiązaniem do obręczy, napajają woskiem, potem oblewają je do połowy, odwracają górą na dół i polewają drugi koniec.

Następnie zdejmują świecę z obręczy, układają między dwoma płótnami, na wielkiej derze wełnianej, przykrywają drugą z góry, i za pomocą deski wałkują na stole zmoczonym wodą; po wywałkowaniu wkładają świece w skrzynię z zimną wodą, aby należycie ostygły.

Wielkie świece, używane podczas świąt Wielkanocnych, tak zwane Paschały, robią od ręki każdą osobno. W tym celu lepi się z wosku gruby wałek; w nim za pomocą linii, wyciska się rynnę aż do środka, wkłada tam namoczony woskiem knot i otwór zalepia się woskiem. Potem się jak zwykle wałkuje. Takie świece ważą niekiedy trzydzieści do czterdziestu funtów i służą naturalnie na długie lata.

4. **Świece łojowe.** Świece łojowe robią się z samego baraniego łoju, lub z domieszką wołowego. Wyrób tych świec jest dwojaki, albo przez maczanie knota w roztopionym łoju, albo przez nalewanie takiegoż łoju w formy. Do łojowych świec przygotowują knot bawełniany, kręcony. Kilka lub kilkanaście takich knotów zaczepia się na długich prętach i zanurza się w koryto, napełnione roztopionym, gorącym łojem. Przy pierwszem zamaczaniu chodzi głównie

o to, aby knot się dobrze łojem napoił. Wyjąwszy pręt z knotami, wiesza go się na umyślnie do tego urządzonym stole, który u góry ma ramę, a u dołu, jakby szufladę, to jest wygląda jakby stół zwyczajny do góry nogami postawiony. Tam knoty stygną, przyczem można je wyprostowywać, jeśli się który skrzywił.

Później maczają knoty drugi raz, trzeci i tak długo, póki świeca nie nabierze dostatecznej grubości. Często się zdarza, że na dolny koniec świecy nabierze się więcej łoju, wskutek tego jest ona grubsza u dołu, wtedy zanurzają świecę dolnym końcem w roztopiony łój, od tego cząstki łoju roztopią się i spłyną, przez co świeca się wyrówna.

Do wyrabiania świec lanych, mają formy metalowe w kształcie rurek metalowych, przez środek których przewleka się knot. Formy tak przyrządzone wstawiają się w otwory deski podłużnej na takim samym, jak poprzednio opisanym stole, i za pomocą lejka nalewa się do nich łoju.

Świece takie lepsze są i twardsze. Do wyrobu ich używają łoju baraniego pół na pół z wołowym.

5. **Świece stearynowe.** Do wyrobu świec stearynowych używają łoju i oleju palmowego, w niektórych krajach dodają jeszcze smalcu wieprzowego i wosku.

Olej palmowy otrzymują z pewnego drzewa rosnącego w Afryce, zkąd go do nas w wielkiej ilości przywożą. Knoty do świec stearynowych robią plecione zazwyczaj z trzech splotów. Knot taki jest lepszy od kręconego, bo ostatni rozkręca się, w płomieniu stoi prosto, a jak się przepali nie wciąga w siebie tłuszczu i świeca pali się ciemno; aby ją rozjaśnić trzeba spalony knot obcinać i odrzucać; knot zaś pleciony pochyla się na bok, i wychylając się po za płomień zwęgla się zupełnie, i pod postacią sadzy unosi się w powietrze.

Do odlewania świec stearynowych, używa się takich samych form, jak do łojowych. Jeden koniec knota umocowywa się w formie na dnie, drugi zaś w lejku, przez który się stearyna leje.

6. **Lampy.** Lampy palą się dla tego, że płyn, czy to olej, czy nafta, tak samo, jak w świecy roztopiony łój, wosk lub stearyna wsiąka w knot i przechodzi do samej góry, gdzie zwykle zapalany zostaje. Zatem głównie się pali płyn ten, a nie knot, jakby się zdawało.

Można się o tem choćby z tego przekonać, że ile to razy trzeba nalewać lampę naftą, ile kwart tej nafty wyjdzie, nim się jakie pół łokcia knota spali.

I w świecy także łoju i stearyny jest przecież daleko więcej niż knota; knot zatem służy tylko do dostarczenia palnego płynu płomieniowi, czem się ten płomień podsyca, odżywia i utrzymuje.

Jak knot może wciągać w siebie naftę, można się przekonać, zanurzywszy koniec nowego knota w tejże. Nafta zacznie wsiąkać w niego, podnosić się do góry, aż po krótkim przeciągu czasu dojdzie do palnika lampy.

7. **Nafta.** Tak samo, jak węgiel kamienny powstał z drzew przedpotopowych, wskutek nacisku przygniatającej ich ziemi i przy pomocy działania wewnętrznego ciepła, tak i nafta według badań uczonych utworzyła się z drzewa i węgla pod wpływem tych samych sił. Uczeni dowodzą tego na zasadzie nauki chemii, która wyświetla z czego wszystkie ciała powstały. Otóż chemia pokazuje, że nafta składa się z tych samych materyałów, co węgiel i drzewo, a cała różnica wynika z niejednakowej ilości pomięszanych ze sobą tych składowych części, naprzykład miedź, stopiona razem z pewną ilością cyny i cynku, daje metal nazwany bronzem, używany do lania dzwonów, a zaś miedź z samym tylko cynkiem, tworzy mosiądz, z którego wyrabiają samowary, klamki do drzwi i tym podobne rzeczy.

A więc nafta powstała z drzewa i węgla, będącego pod naciskiem ziemi i działaniem wewnętrznego ciepła, wskutek czego jedne składowe cząstki drzewa i węgla ulotniły się, a pozostałe wydzieliły płyn. Płyn ten zatrzymuje się w gruncie, w postaci żył i jeziórek, tak samo, jak zaskórna woda, lub też na powierzchnię ziemi występuje i zalewa dość

duże przestrzenie, a w miejscach gdzie się nafta pokaże, robią natychmiast pilne poszukiwania.

Najobfitsze źródła nafty są: w Galicyi, nad Kaspijskiem morzem na Kaukazie, osobliwie w okolicy miasta Baku, i w Ameryce.

W ostatnich dopiero czasach ludzie odkryli własności nafty i zastósowali ją do oświetlania. Z początku, źle oczyszczona, kopciła i swędziła, mało jej tedy używano, dziś w oczyszczaniu doszli do takiej doskonałości, że swąd i kopec usunięto, (chyba, że knot w lampie źle odkręcony). Nafta też odznaczająca się taniością, zajęła miejsce dawniej używanego oleju, świec łojowych, a nawet łuczywa.

Dziś nafta pali się w najbogatszych domach i najbiedniejszych chałupach, bo jest tania i jasne wydaje światło.

8. Gaz. Gaz oświetlający widzieć można palący się w latarniach i lampach sklepowych w dużych miastach. Gaz ten wyrabia się najczęściej z węgli kamiennych, chociaż można go także wyrabiać z drzewa, stearyny, łoju, oleju, nafty i wielu innych palnych materyałów, ale fabrykacya z węgla najlepiej się opłaca, bo najmniej kosztuje.

Do wyrabiania gazu są w dużych miastach osobne fabryki. Węgiel wsypują w piec z ogniotrwałej cegły i zamykają szczelnie przypasowanemi drzwiczkami, a pod spodem, gdzie znajdują się paleniska, rozkładają ogień.

Węgiel silnie ogrzany bez dostępu powietrza nie pali się, lecz wydziela z siebie: gaz, wodę i smołę. Wodę i smołę odpowiednio urządzonemi rurami wypuszczają, a gaz osobną rurą odprowadzają do zbiornika, w którym się gromadzi. Ztamtąd dopiero innemi rurami, ułożonemi wzdłuż ulic pod ziemią, gaz przechodzi do różnych części miasta. Ponieważ zaś jest bardzo lekki z łatwością więc unosi się w górę i uchodzi rurkami na najwyższe piętra.



Sąd w Chinach. (Zobacz artykuł na str. 58).

9. Światło elektryczne. Jeżeli potartą suknem laskę laku, (używanego do pieczętowania listów), zbliżymy do drobno podartych kawałeczków papieru, to zobaczymy, że lak papier ten przyciągnie do siebie; to samo widzieć się daje,

jeżeli zamiast laku weźmiemy szklanną pałeczkę. Siła ta, która się w szkle i laku dopiero za potarciem obudza, nazywa się elektrycznością.

Naelektryzowany lak, to jest taki, w którym przez potarcie wzbudzono elektryczność, przyciąga do siebie nie tylko małe papierki, ale i inne przedmioty lekkie, np. kulki z rdzenia bzowego. Jeżeli taką kuleczkę bzowego rdzenia uwiążemy na jedwabnej nitce i zbliżymy do niej lak, to on przyciągnie ją do siebie, po chwili zaś kulka sama od laku odskoczy i jak przybliżymy do niej lak, usuwać się będzie. Tym sposobem dowiedziano się, że elektryczność wzbudza się w różnych ciałach nietylko przez potarcie, ale także przez proste zbliżenie do naelektryzowanego ciała.

A zatem kulka z rdzenia bzowego, przez zbliżenie do niej laku, naelektryzowaną została tą samą elektrycznością. Jeżeli teraz do kulki tej zbliżyć laseczkę szklaną, naelektryzowaną, to kulka do niej się przysunie, wtedy gdy od laku odskakiwała. Przekonano się z tego, że w laku jest inny gatunek elektryczności, a w szkle też inny.

Dla odróżnienia nazywano dawniej jedną elektryczność szklaną, a drugą żywiczną (bo lak z żywicy się robi), teraz szklaną nazywają dodatnią, a żywiczną ujemną.

Przez próby wykonywane z dwiema kulkami, z których jedna naelektryzowana dodatnio, a druga ujemnie, dowiedziano się, że dwie różne elektryczności przyciągają się, a dwie jednakowe odpychają się. Dla tego też wszelkie do świadczenia robią się z dwiema różnorodnemi elektrycznościami.

Z czasem poznano, że elektryczność powstawać może nietylko przez tarcie, ale zupełnie innym sposobem.

W szklane naczynie, w którem znajduje się kwas siarczany, witryolem pospolicie nazywany, zanurzają dwie tafelki: jedną miedzianą a drugą cynkową, obie zakończone drutami. Wtedy w naczyniu przez działanie witryolu na metal, powstaje elektryczność, tworząc jakby prąd (ruch ten nazywa się też prądem elektrycznym) i przechodzi z miedzi do cynku.

Końce drutów nazywają się biegunami, na miedzianym zbiera się ele-



Pręgierze w Chinach. (Zobacz artykuł na str. 58.)

ktryczność dodatnia, zaś na cynku ujemna. Kiedy bieguny zbliżą się do siebie, to dwie te różnorodne elektryczności, chcąc się z sobą połączyć, tworzą iskrę.

Jeżeli zamiast jednego naczynia z blaszkami wziąść ich kilka lub kilkanaście, to przy zbliżeniu drutów otrzymamy bardzo silną iskrę.

Otóż elektryczne lampy urządzają w ten sposób: końce drutów łączą ze

sobą za pomocą cienkiego węgielka, zgiętego w podkowę. Węgiel ten i końce drutów odkrywa się szklaną banią, a następnie z niej pompują za pomocą maszyny powietrze, (bo w powietrzu węgiel prędko by zgorzał).

Wtedy puszczają prąd elektryczny, a elektryczność dodatnia, chcąc się złączyć z ujemną, przebiega po węglu, rozrzarza go do białości, a ten świeci bardzo jasno.

Takiemi lampami oświecają w dużych miastach: sklepy, teatry, fabryki itp.

Są jeszcze innego rodzaju lampy elektryczne, które wydają światło daleko silniejsze.

NIECO O CHINACH.

(Z 2 obrazkami.)

W ostatnich czasach było po gazetach wiele pisania o Chinach z tej przyczyny, ponieważ wybuchło tam powstanie przeciw chrześcianom. Czytaliśmy o okropnych mordach, jakich się powstańcy dopuszczali, o bitwach, które wojsko rządowe z powstańcami toczyć było zmuszone, o groźnem napomnieniu, jakie państwa europejskie w ten sposób rządowi chińskiemu dały, że zgromadziły kilkadziesiąt wojennych okrętów na wodach chińskich aby bronić chrześcian. Ostatnie wiadomości głoszą, że rząd chiński energicznie wystąpił przeciw powstańcom, że wielu z przywódzców dało gardło, wielu powstańców zabito za to, że się buntowali.

Pożyteczną zda nam się być rzeczą, podać z tego powodu nieco wiadomości o Chinach, a w szczególności o chińskiej sprawiedliwości i o niektórych karach, jakie tam przestępcy cierpieć muszą.

Chiny są ogromnem państwem w Azyi. Na całym świecie nie ma drugiego, któreby tak ludne było, jak Chiny. Obszar całego państwa wynosi przeszło 180 tysięcy mil kwadratowych, a mieszka w niem przeszło 400 milionów mieszkańców. Same Chiny tedy są większe, niż cała Europa i mają prawie o 100 milionów więcej ludności, niż wszystkie kraje Europy.

Klimat tak rozległego państwa musi być oczywiście rozmaity, w ogóle jest suchy i umiarkowany. W jednych okolicach panuje zima tęga od Października do Marca, w innych znów zimy prawie wcale nie ma.

Płody ziemi chińskiej są bogate. Jest tam złoto, srebro, miedź, ołów, żelazo, arszenik, drogie kamienie, jak rubiny, szafiry, granaty, także węgiel, sól, pianka morska i t. d. Również bogatą jest roślinność ziemi chińskiej. Składa się ona z wielu rodzajów drzew, zbóż, krzewów, roślin warzywnych i roślin leczniczych. Najważniejsze jednak rośliny są: herbata, ryż, bawełna, bambus, trzcina cukrowa.

Głównem zatrudnieniem Chińczyków jest rólnictwo; kraj cały jest starannie uprawiony, mierzwiony i zraszany wodą licznych źródeł i kanałów. Często wielkie przestrzenie kraju podobne są do ogrodów starannie utrzymywanych. Najpoważniejszą hodowlą jest uprawa herbaty. Handel i przemysł też jest znaczny. Chińczycy mają wrodzoną skłonność do handlu, są przebiegli i mają być podobno gorszymi szachrajami, niż żydzi.

Chińczycy są ludem z dziwnymi dla nas obyczajami i zwyczajami. Bardzo gorliwie i zacięcie nawet trzymają się wszystkiego, co po ojcach swoich otrzymali. Wcale sobie nie ubliżymy, gdy powiemy, że byłoby dobrze, gdyby naród polski naśladował Chińczyków w wytrwałości przy tych wszystkich starych obyczajach swoich przodków, które są dobre. Chińczycy noszą np. dziś taki sam strój, jaki przodkowie ich przed kilku set laty nosili. Nie wstydzą go się i wielcy

panowie chińscy, co są posłami przy dworze cesarskim w Berlinie nigdy inaczej nie chodzą, jak w chińskim stroju. Bogaci i wysocy urzędnicy noszą strój jasny, cesarz chiński zaś ubiera się w żółte szaty. Na sukniach są wyhaftowane rozmaite dziwne zwierzęta, smoki i t. p. Włosy golą, zostawiając sobie tylko jeden, jak najdłuższy warkocz, który troskliwie pielęgnują, a nawet, jak słychać, sztucznym zastępują. Dziewczęta chińskie uważają na zaletę, mieć jak najmniejsze stopy, a rodzice są również tacy nierozsądni, że od małości ściskają im nogi okropnie i kaleczą. Złe języki mówią, że niektóre miejskie panie w Europie ten niegodny zwyczaj chiński naśladują, aby córeczki zgrabniutkie nóżki miały. Tego nie można pochwalić.

Chińczycy są poganami, jednak nie wszyscy jednego pogaństwa się trzymają; jedni trzymają się tego, co ich mędrzec, nazwiskiem Konfucyusz, ustanowił; inni inni znów są wielbicielami innego, zwanego Buddą, inni wreszcie uważają przepisy religijne niejakiego Lao-tse, filozofa chińskiego z VII-go wieku za najlepsze.

Między tych pogan wysyła Kościół katolicki od dawna licznych Misyonarzy, którzy prawdziwą jedynie wiarę Chrystusową pomiędzy nimi rozszerzają. Jestto rzeczą bardzo trudną i z wielkiemi niebezpieczeństwami połączoną, bo Chińczycy, jak we wszystkiem innem, tak i co do religii trzymają się tego, co od przodków swoich otrzymali. Potrzeba tedy wielkiej pracy nad nimi, zanim pogaństwo porzucą. Bogu chwała a dzięki niezmordowanej pracy katolickich Misyonarzy, wiara św. znajduje coraz więcej zwolenników, a gdy przed 10 laty było w Chinach około 400 tysięcy, dziś jest przeszło 6 razy więcej chrześcian. Obecne prześladowanie zniszczyło wiele dzieł missyonarskich, rzuciło strach na Chińczyków, aby wiary katolickiej nie przyjmowali, jeżeli się nie chcą doczekać złych czasów. Ale gdy rząd powstańców uspokoi, to Bóg łaskawy sprawi, iż serca jeszcze większej liczby pogan otworzą się dla Jego wiary.

W Chinach panuje cesarz, którego »synem nieba« nazywają. Godność cesarska jest dziedziczną w rodzinie panującej, ale nie tak, jak w Europie, gdzie najstarszy syn po ojcu następuje, tylko podług woli ojca, który przeznacza jednego z synów na swego następcę. Cesarz chiński ma wprawdzie wielką moc, ale despotą czyli zupełnie samowolnym panem nie jest, gdyż są także księgi praw, które i cesarz w poszanowaniu



Modliszka chwytnonoga. (Zob. obj. rycin na str. 64.)

mieć musi. Ma do pomocy ministrów i wielką liczbę urzędników świeckich i wojskowych. Wojska jest prawie do miliona, lecz nie ma w niem dobrego porządku. W ogóle Chiny w porównaniu z państwami europejskiemi są źle urządzone a wina w tem, że upierają się przy pogaństwie i nie chcą znać żadnego postępu. Stare dzieje opowiadają, że przed bardzo dawnymi laty cesarze chińscy kazali na granicach państwa wznieść ogromny mur do koła, chcąc

się niejako odgrodzić od innych krajów. Ten »mur chiński« poszedł nawet w przysłowie; o człowieku, co żyje dla siebie, od ludzi się usuwa, o postępie słyszeć nie chce, mówią, »że się murem chińskiem otacza.«

Prawa i sądy chińskie różnią się od naszych. Chińskie prawo karne rozróżnia zbrodnie, przestępstwa, złe czyny, wykonane z rozmysłem i czyny, wykonane bez rozmysłu. Zabójstwo, rabunek, kradzież uważają Chińczycy za zbrodnie, lecz nie za największe. Natomiast bardzo ostro karzą niemoralność i niereligijność, bo (powiadają) kradzież popełni niejeden, popchnięty do niej stósunkami, niemoralność zaś i niereligijność są znakiem niegodziwego człowieka. Ażeby obwinionych, gdy się przyznać nie chcą, do wyznania prawdy zmusić, używają sędziowie chińscy rozmaitych tortur, któremi męczą przestępców w okropny, nieludzki sposób.

Rycina w dzisiejszem »Świetle« przedstawia obraz sądu chińskiego. W niskiej izbie, której ściany obwieszone są niejako plakatami, opisanymi zdaniami z ksiąg Konfucyusza lub Buddy, siedzą sędziowie. Pierwsze miejsce zajmuje pierwszy sędzia w pstrym stroju, z okrągłą krymką na głowie. Po bokach siedzą dwaj asesorowie w białych szatach, dalej zaś pisarze i tłómacz. Trzeba bowiem wiedzieć, że nie wszyscy mieszkańcy Chin jednym mówią językiem. Sędziowie chińscy zaś nie usiłują nikogo przymuszać, ażeby koniecznie mówił tym językiem, którym oni mówią, lecz bez długich korowodów dają mu tłómacza do pomocy; to jest dobrze i sprawiedliwie. Gdy sędziowie zasiądą, wtedy wprowadzają winnych, którzy padają przed nimi na kolana i biją pokłony, jęcząc i płacząc. Pierwszy sędzia stawia pytania, tłómacz powtarza je oskarzonym, a gdy sąd już dosyć się dowiedział, tedy pierwszy sędzia powie wyrok; obok siedzący asesorowie skiną głową na znak, że się nań godzą, sekretarz spisze go, a tłómacz obwieści obwinionym. Wszystko odbywa się z wielkim spokojem ze strony sędziów, którzy są jakby nieczuli na skargi i płacze obwinionych, popijają przy sądzeniu herbatę, a nawet tedy owedy pociągną z łajki dymu tabacznego.

Kary są rozmaite, kara śmierci zaś tak częsta, że nieraz 100 ludzi w jednym dniu straci głowę przez ścięcie lub powieszenie. Mniejsze przestępstwa karzą batami, często też sąd skarze przestępcę na 10 do 100 uderzeń trzciną na podeszwy nóg. Za cięższe zbrodnie wypędzają na krańce kraju, do ciężkich robót lub wyganiają na całe życie z ojczyzny. Z pomiędzy kar wspominamy o pręgierzu, którego rycina znajduje się także w dzisiejszym numerze. Nie potrzeba wiele słów do objaśnienia tej ryciny; kto na nią spojrzy, łatwo pojmie i domyśli się, jak przykrą jest taka kara.

ROKOSZ*) LIP.

W. poście̜ży**) wśród sadu rosły lipy liczne;
Równocześnie były przed laty sadzone,
Lecz jedna z nich miała konary prześliczne,
I daleko wyższą od innych koronę.
Gniewało to siostry, dla tego zazdrosne,
Prowadziły o niej pogadanki sprosne;
Chciały się jej pozbyć, bo jej nie cierpiały,
Sądząc, że się przez to lepiej będą miały . . .
W tem nadszedł ogrodnik. »Zetnij tę istotę,
Tę całej alei największą brzydotę!«
Na to jedna: »Szydło z worka dziś wyłazi;
Wiesz, panie, dlaczego? Wyższość bowiem razi!«
A ogrodnik rzecze: »Ona chlubą waszą,
Niech rośnie; krzyki mię wasze nie przestraszą!«

Józef Chmielewski.

*) Bunt. — **) Alei.

PODRÓŻ BALONEM.

(Ciąg dalszy.)

O dwie godziny potem mruknął i pan Ryszard:

— Przyjemna jazda!

— A co? — odrzekł Józef — czy ja to nie mówiłem, że co mój pan wymyśli, to musi być dobre? Ale wiecie panowie co? Mój żołądek upomina się o swoje prawa. Czy nie byłby już czas pomyśleć o śniadaniu?

— A jakże, a jakże — przywtórzył Ryszard.

— Zgoda! — dorzucił Fergusson. — Nagotuj nam kawy, Józefie, takiej doskonałej, jak to potrafisz. Pozwolę ci, abyś sobie z mego aparatu ciepła do tego mógł wziąć.

— No, no — przestrzegał Ryszard — miejcie się na baczności, żeby się czasem balon nie zapalił, bo nie wiem, coby się z nami stało. Brrr...

— Bądź spokojny, — odpowiedział Fergusson — będziemy ostróżni.

Niedługo potem zajadali wszyscy trzej chleb, zwany cwibakiem, co się długo trzyma, z mięsem zakonserwowanem, a popijali kawę. Po śniadaniu zaś Fergusson stanął przy aparacie, a jego przyjaciele siedli sobie wygodnie przy brzegu łódki i gapili się na kraje, które w szybkim biegu przed ich oczami się przesuwały. Fergusson brał od czasu do czasu dokładną mapę Afryki do ręki i objaśniał towarzyszy, gdzie się znajdują.

W pewnem miejscu rzekł:

— Teraz znajdujemy się na miejscu, gdzie dwaj sławni podróżnicy, którzy lądem głębie afrykańskich puszcz badali, zachorowali na febrę, bo to kraj bardzo niezdrowy i pełen zaraźliwych wyziewów.

— Ja to już czuję, — zawołał na to Ryszard.

— A to trzeba uciekać! — odrzekł Fergusson i przyrządziwszy niecoś w aparacie, wzniósł balon wyżej, ażeby wyziewy nie dosięgły tak wysoko.

Zresztą musiał się wznieść i z tego powodu, bo właśnie stanęło im w poprzek pasmo gór, które było trzeba ominąć.

Balon wzniósł się na 3000 stóp ponad ziemię a gdy przebyli góry, znów spadł niżej.

Około godziny 8 wieczorem pomyśleli podróżnicy o tem, że byłoby dobrze balon zatrzymać i w spokoju noc przepędzić. Spuścili się tedy jeszcze niżej ku wierzchołkom gór, porosłych drzewami, potem wyrzucono hak, zwany kotwicą, na długiej linie, a Józef spuściwszy się po drugiej linie, zadzierzgnął i przywiązał kotwicę do silnego drzewa.

Pan Ryszard zapytał, ile też mil w tym dniu ulecieli? Fergusson wyjął kartę i zmierzywszy cyrklem, odpowiedział, że 120 mil angielskich (4 mile angielskie równają się jednej mili naszej).

Na drugi dzień obudził się p. Ryszard z febrą i zaczął narzekać. Fergusson pocieszył go mówiąc:

— Mam doskonałe lekarstwo! Poczekaj trochę.

Gdy odwiązali balon, Fergusson urządził aparat tak, że niebawem ostro w górę unosić się zaczęli i uciekać przed wilgocią i deszczem, który w nocy padać zaczął i dotąd nie przestał.

Niedługo stanęli na 4000 stóp, gdzie nie było wilgoci, lecz ciepło wielkie a suche. Po trzech godzinach oświadczył p. Ryszard, że już febry nie ma.

— Wiedziałem — odrzekł z uśmiechem Fergusson; — pojechałeś niejako do cieplic, mój kochany, jak to w Europie tylu i tylu chorych ludzi robi i te cieplice ci pomogły.

— Nie ma co mówić, — odpowiedział pan Ryszard; — twój balon jest jednak miłą rzeczą.

— Aha! — zaśmiał się Józef, — a pan Ryszard nie chciał wierzyć. Co do mnie, to mnie się tu tak podoba, że na stare lata chciałbym tu mieszkać na łaskawym chlebie.

Od południa tegoż samego dnia spuścili się z balonem niżej ku ziemi,

a gdy go kotwicą do drzewa przytwierdzili, rzekł Fergusson:

— Kochany Ryszardzie! Teraz możesz sobie trochę popolować na antylopy (kozy górskie), których mięso bardzo jest smaczne. Idźcie obaj do tego lasu, który widzicie i polujcie, a ja tymczasem napiszę sobie rozmaite spostrzeżenia, jakie podczas podróży poczyniłem. Bądźcie ostróżni. Ja zresztą będą patrzał z góry za wami i gdybym spostrzegł niebezpieczeństwo, to wystrzelę.

Ryszard i Józef wzięli flinty, spuścili się po linie i dalej w las. Po dość długiej podróży przyszli nad rzeczkę, gdzie nad brzegiem kozy górskie się pasły. Panu Ryszardowi zakołotało serce z radości. Jakże on dawno nie strzelał! Zmierzył i wypalił. Jedna z kóz żabekła żałośnie i padła.

Obaj strzelcy przybliżyli się a Józef wziął się do wykrojenia z antylopy tych części mięsnych, które są najsmaczniejsze. Gdy to już prawie kończył, rzekł z pustoty do p. Ryszarda:

— Coby też to było, gdyby pan Fergusson uciekł z balonem, a nas tu zostawił!

— Nie gadaj głupstw, chłopcze, — krzyknął przestraszony pan Ryszard.

— Nie myślę o tem, — prawił Józef dalej, — aby to z umysłu zrobił, ale wiatr mógłby balon porwać...

— Nie wywołuj nieszczęście — przerwał mu Ryszard.

W tej chwili usłyszeli huk wystrzału. Porwali się zaraz i pospieszyli w tym kierunku, w którym przyszli. Niedługo rozległ się drugi wystrzał.

— Ho, ho, — zawołał Józef — pan mój musi być w niebezpieczeństwie, bo się widocznie broni.

Zaczęli tedy biedz, a gdy wybiegli z lasu, spostrzegli, że balon stoi w tem samem miejscu, a Fergusson z flintą w ręku, trochę przechylony, spogląda bacznie w dół.

Choć to była jeszcze znaczna odległość, spostrzegł Józef, że cała banda czarnych istot stała w koło drzewa, przy którem kotwica była przymocowana.

— To murzyni napadli balon! — szepnął.

Obaj z panem Ryszardem biegli co tchu, a gdy się wreszcie tak zbliżyli, że kula mogła dolecieć, palnęli obaj, mierząc przedewszystkiem w tych, którzy na drzewie byli. Że nie chybili, to pewna, bo widzieli, jak się dwaj czarni z drzewa zwalili, a inni uciekli. Ale Józef spostrzegł, że jeden z postrzelonych nie spadł całkiem na ziemię, tylko wisi w powietrzu.

— Na czemże wisi? — mruknął pojąć nie mogąc.

Jeszcze chwilę biegli, gdy zaraz Józef stanął i zaczął się śmiać do rozpuku a wołać: »To nie ludzie, to małpy.«

Jak było w istocie. Gdy już siedzieli w łódce a balon leciał co miał sił, śmiali się z dziwnej przygody a Józef tymczasem piekł mięso kozie na obiad.

Do wieczora tego dnia wiał wiatr pomyślny, lecz ze zmrokiem ustał. Fergusson wzniósł balon wyżej, szukając niejako w górnych okolicach wiatru, ale napróżno; cisza panowała w powietrzu. Tymczasem zapadła noc i nie było innej rady, jak przenocować w powietrzu. Balon stanął tedy prawie nieruchomie i kołysał się lekko.

— Panowie — zawołał Józef, dowiedziawszy się, że noc przepędzić mają w balonie nie przywiązanym, lecz swobodnie bujającym; — nie myślałem, abym kiedy w życiu miał spać w kołysce, a ten nasz balon, to prawdziwa kołyska. Potrzeba tylko jeszcze, aby mi kto śpiewał jaką piosenkę, a wtedy będę się czuł jak dziecko, które matka kołysze.

— Spiewki ci nikt nie będzie śpiewał — odpowiedział Fergusson — ale muzykę pewnie niebawem usłyszysz.

— Czy podobna?

— Tak jest; dzikie zwierzęta pewnie niedługo zaczną wyć na ziemi, bo z nadejściem nocy chętnie wyłażą z kryjówek i szukają żeru.

— Brrr!... — wstrząsnął się pan Ryszard.

— Gdy nie ma innej muzyki, — zaśmiał się Józef — to i ta dobra, a

nam tak wysoko w powietrzu wcale bezpieczna.

Istotnie koncert dzikich zwierząt zaczął się niedługo, ale podróżni nie dbali o to. Ryszard i Józef położyli się spać, a Fergusson czuwał, stał na straży. O północy zbudził p. Ryszarda, a sam się położył, przykazawszy przyjacielowi, aby go natychmiast obudził, gdyby się cośkolwiek zdarzyć miało.

W nocy powstał łagodny wiatr i balon począł lecieć. Ponieważ jednak zresztą wszystko w porządku było, więc Ryszard nie przerwał snu Fergussonowi, który się dopiero rano obudził.

Spojrzawszy na barometr, spostrzegł Fergusson, że balon zmienił kierunek lotu podług wiatru, który wiał ku północnemu zachodowi. Rzuciwszy okiem po całej okolicy, rzekł Fergusson:

— Jesteśmy na dobrej drodze. Tam, trochę w bok, leży Dschihue-La-Ukoa, jak na mojej mapie czytam. Widzę też, że tu gdzieś na tej wyżynie znajdują się znaczne stawy. Spróbujemy, czy nam się nie uda stanąć i dostać wody, bo trzeba nam pamiętać o tem, ażeby jej mieć zawsze podostatkiem. Józef, wyrzuć kotwicę!

— Nie ma drzew, o któreby się mogła zahaczyć — odrzekł Józef.

— Mimo to, wyrzuć kotwicę.

Józef wypełnił rozkaz a Fergusson nacisnął na aparat i balon poszedł w dół. Kotwica zaczęła się wlec po ziemi, aż się zaczepiła w szczeliny skalistego gruntu, jaki tu był. Józef wziął małą beczkę, a spuściwszy się po linie, udał się w kierunku, wskazanym przez Fergussona po wodę. Po pewnym czasie znalazł źródło i nabrawszy wody, wrócił do balonu. Raz byłby o mało nie złapał się w sidła, zastawione tu miejscami na słonie. Obejrzał sobie te sidła i mruknął:

— Ja nie słoń, więcby mnie szkoda było!

(Ciąg dalszy nastąpi.)

WIADOMOŚCI GÓRNOSZLĄSKIE.

Polskie szkoły w przeszłem stuleciu.

W sejmie toczy się obecnie ostra walka o szkołę; mianowicie chodzi o to, czy przy wychowaniu młodzieży religia ma być uwzględniona, jak tego Kościół i rodzice wymagają. Dla porównania teraźniejszych stosunków z dawniejszemi, podajemy tu niektóre zajmujące przepisy dla szkół elementarnych w Polsce z pierwszej połowy 18-go wieku.

Według ustaw, które mamy pod ręką, dzwoniono do szkoły w lecie o 6-tej godzinie, w zimie o $6^1/_2$, i po południu o $1^1/_4$, ponieważ nauka chrześciańska jest niby służbą bożą. Przed rozpoczęciem nauki mówiono zawsze modlitwę »Przyjdź Duchu św.« i potem różaniec lub godzinki. We wtorki rano i w soboty po nieszporach śpiewano z kantorem litanie. Spowiedź była często, według możności co miesiąc, a na Wielkanoc z kartkami. Pacierz odmawiał się zwyczajnie po polsku, tylko w niedzielę po łacinie. W szkołach elementarnych uczono oprócz religii po polsku czytać, pisać, rachować, śpiewać i początki mowy łacińskiej, aby każdy chłopiec z uwagą mógł do mszy św. służyć i lepiej wyrozumiał obrządki kościelne i obce wyrazy. Rozporządzenie dla nauczycieli poleca im mianowicie »dzieci w karności i skromności trzymać, swawoli zabronić, bojaźni Boga uczyć, która jest początkiem mądrości, nabożeństwa i posłuszeństwa pilnować.« Nauczyciel powinien na mszy św., różańcu i godzinkach codziennie, na kazaniach, nieszporach, litaniach i procesyach, skoro się wydarzą, przy dzieciach być przytomny. W dni święte przychodziły wszystkie dzieci o 9-tej godzinie do szkoły, gdzie czytano Żywoty Świętych według Skargi

albo przykłady katechizmowe; o 10-tej godzinie szli uczniowie razem z nauczycielem na kazanie i mszą św. Po południu znowu było zebranie we szkole, gdzie nauczyciel miał się pytać, o czem było kazanie i czego się kto nauczył, potem udać się pięknie do kościoła.

W tym duchu są dalsze przepisy ułożone. Cóżby też powiedzieli nasi liberalni mądralkowie na takie wychowanie? Wtedy nie męczono dzieci w obcym języku fizyką, geometryą lub podobnemi rzeczami, których nigdy nie strawią, lecz dawniej wychowano je na bogobojnych katolików i wiernych, skromnych, posłusznych obywateli, którzy byli należycie obeznani z tem, co dla nich potrzebne lub pożyteczne. Kto bliżej przypatrzy się szkołom polskim (np. podług obszernego dzieła Łukaszewicza), musi przyznać, ża na owe czasy szkólnictwo i wychowanie w Polsce lepiej było urządzone, aniżeli w niektórych okolicach, które dzisiaj chcą wszystko przewyższać swoją »kulturą.«

Wyższe szkoły były w Polsce wyłącznie prawie pod opieką księży Pijarów, Jezuitów lub innych zakonników. Na Szląsku mają około szkólnictwa największe zasługi obok duchowieństwa świeckiego mianowicie księża Cystersi, którzy utrzymywali od dawna wyższe szkoły w Rudach, Imielnicy itd. Księża Franciszkanie, (aby tylko niektóre szkoły na Szląsku wyliczyć,) założyli w roku 1751 gimnazyum w Głupczycach; ks. Jezuici już w XVI-tym wieku mieli gimnazyum w Nysie i w roku 1702 założyli wyższą szkołę w Wrocławiu, z której powstało pod ich opieką gimnazyum św. Macieja i uniwersytet wrocławski. Gimnazyum świętej Maryi Magdaleny w Poznaniu już od roku 1303 istnieje i także duchowieństwu zawdzięcza swój rozwój.

J. Piast.

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Modliszka chwytnonoga. Czytelnicy »Światła« słyszeli bezwątpienia o szarańczy i zniszczeniu, jakie jej pojawienie się z sobą niesie, ale mało kto pewnie slyszał o modliszce, choć z powierzchności jest nieco do szarańczy podobną. Owad ten wielkości naszego konika polnego, ma ciało wydłużone, barwy zielonawej, blednącej po zgonie i żółtawe, bardzo długie nogi. Dwie przednie łapki trzyma zazwyczaj podniesione niby wyciągnięte ręce ku niebu. Ale nie trzeba ufać świątobliwej postaci tego stworzenia, bo jest ono chytre i podstępne, a owe łapki wyciągnięte jak do modlitwy, zbrojne są w straszliwe narzędzia mordercze! Zielona barwa skrzydeł, pozwala modliszce ukrywać się niewidzialnie między liśćmi drzew lub krzewów. Całemi godzinami siedzi tam nieruchoma, z wyciągniętą szyją i upatrzywszy sobie jaką ładną muszkę lub inny owad, posuwa się za nim zcicha, ostrożnie, jak kot i uderza niespodzianie na swoją zdobycz. Zarzuca nań łapki, których ostre kolce wpijają się w ciało schwytanej ofiary, przyciąga do siebie i pożera. Po dokonanem morderstwie czyści sobie łapy pyszczkiem i znowu czycha na inną zdobycz. Rycina, którą tu widzicie, przedstawia modliszkę rzucającą się na małego ptaszka. Uczony jeden przyrodnik opowiada, że pewnego razu usłyszał w gęstwinie przenikający do głębi krzyk i rozpaczliwe trzepotanie skrzydeł, a nazajutrz znalazł na tem miejscu szczątki zamordowanej ptaszyny. Rozbójnik ten należy do rodziny Mantis, a nazwa jego naukowa jest Mantis religiosa. Żyje w północnej Afryce i Europie południowej; znajdowano go też pod Frankfurtem nad Menem i w Morawii. Wiele gatunków modliszki przemieszkuje w cieplejszych okolicach Ameryki i Azyi. Charakterystyczna jej postać pomaga do wytworzenia różnych o niej legend, a mianowicie: że pytającym o drogę dzieciom, wskazuje ją jedną z wyciągniętych przednich łapek; że pojawienie się jej zapowiada głód — na którą to bajeczkę niezawodnie podobieństwo jej do szarańczy wpłynęło. Niemcy nazywają te owady »bogomodlcami,« grecy »prorokami« a hiszpanie »chwalcami Boga.« Nazwa polska modliszki pochodzi od wyrazu modlitwa i jest dość trafnem streszczeniem pojęć, jakie się wytworzyły u innych ludów z powodu dziwnej postaci tego stworzonka.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Szl.
Redaktor: Adam Napieralski w Bytomiu.

Praktyczne rady.

— **Gdy jaja są drogie i trudne,** można je zastąpić do siekanego mięsa, j. t. do kotletów, siekanej pieczeni, klopsów, mlekiem lub śmietanką, dolewając tyle, ile mięso przyjmie. Tak przyrządzone mięso dobrze się wyrabia i zyskuje bardzo na smaku.

— **Ocet domowy.** Wlać w baryłkę dębową 12 litrów wody miękiej i 4 litry okowity. Arkusz zwyczajny czystego papieru posmarować z dwóch stron miodem, a zwinąwszy w trąbkę, wpuścić w baryłkę z lekka ją zatykając; postawić w ciepłym pokoju, gdzie stać powinna najmniej sześć tygodni, po upływie tego czasu ocet powinien być dobry do użycia, zależy to jednakowo od temperatury.

Dla nadania koloru wziąść 1/4 kwarty kawy jęczmiennej, podrumienić ją na patelni na wolnym ogniu, mięszając ciągle i wrzucić owocu na kilka dni przed skończeniem fermentacyi.

— **Środek przeciwko zwarzeniu się i skwaszeniu mleka.** W południowej Rosyi, gdzie latem temperatura średnia dochodzi do 36° R., wie-niacy zapobiegają zwarzeniu się i skwaśnieniu mleka, przez dodanie do niego kilka kropel soku wyciśniętego z chrzanu.

— **Jak przeszkodzić kiełkowaniu cebuli?** Do siatki lub woreczka cienkiego włożyć cebulę i powiesić na kilka dni do komina (wędzarni).

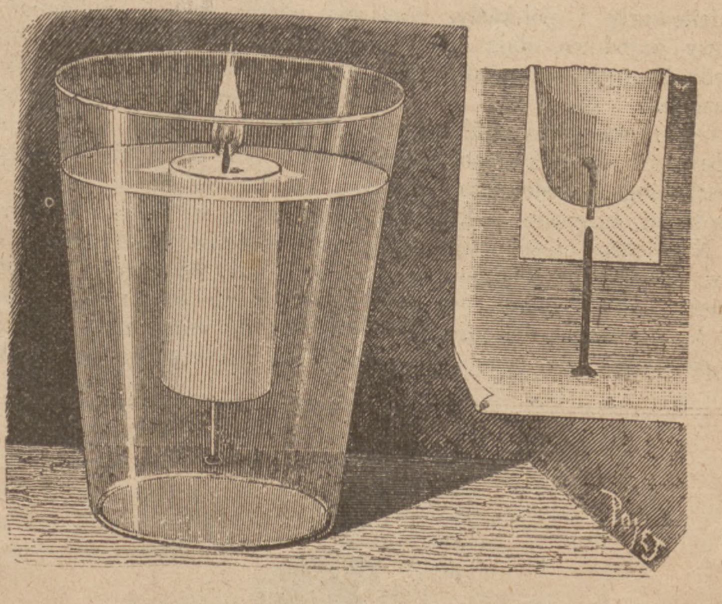
Dym smaku, jej właściwego nie odbierze a przeszkodzi kiełkowaniu na długi czas.

— **Sposób przerobienia wody twardej na miękką.** Do wody dolewa się małą ilość mleka wapiennego, które się przygotowuje w następny sposób: Bierze się 1 funt dobrze wypalonego wapna gasząc je 20 tu funtami wody; tym sposobem woda twarda staje się miękką i bardzo dogodną do gotowania grochu, fasoli i z łatwością rozpuszcza mydło.

— **Kit do zalepiania spar w kachlanych piecach,** gdy się z nich kopci (swędzi). Bierze się równe części gliny, soli, drzewnego popiołu i to wszystko urabia się z tyle wody, aby kit był gęsty, jak ciasto. Gdy piec się tym kitem zalepia, nie powinien być gorący.

— **Trwała farba do podłóg drewnianych.** Mięsza się 1 kilogram dobrego kleju stolarskiego, 30 gramów sproszkowanego dwuchromianu potasu (chrompik) i 100 gramów brunatu anilinowego, mięszaninę pozostawia się w spokoju na 6 godzin, a następnie ogrzewa aż do wrzenia. Otrzymaną w ten sposób masą, jeszcze ciepłą, byle nie wrzącą, pokrywa się podłogę za pomocą twardego pędzla malarskiego. Po 2—3 dniach farba, pod wpływem światła słonecznego, staje się nierozpuszczalną i nieprzepuszczającą wodę. Powyżej wskazana ilość składników daje tyle farby, że wystarczy do pomalowania 100 metrów kwadr. podłogi; koszt zaś wynosi około 2—3 marek.

— **Klarowanie lakieru.** Wiadomem jest, że lakier spirytusowy po pewnym czasie zaczyna mętnieć, zwłaszcza jeżeli naczynie, w którem jest przechowywany, częściej się otwiera. Pochodzi to ztąd, że spirytus pochłania wilgoć z powietrza. Chcąc niedogodność taką usunąć, należy kłaść do lakieru cienkie paski żelatyny. W takim razie żelatyna pochłania ze spirytusu wodę i lakier aż do ostatniej kropli pozostanie czystym i klarownym. Pozostałe paski żelatynowe można następnie wysuszyć i znów użyć do tegoż celu. Sposób ten jest bardzo w ostatnich czasach zalecany.



Doświadczenie fizyczne.

Kawałek świecy wpuśćmy w szklankę z wodą, wbijmy w świecę gwóźdź takiej wagi, aby zaledwie brzeg jej wystawał nad powierzchnię wody, a zaręczamy, że wypali się do ostatniej odrobiny knota. Istotnie, palenie świecy skróca ją wprawdzie i woda groziłaby zalaniem płomienia, gdyby to palenie nie odbierało jej zarazem wagi, przez co świeca ciągle w górę się wznosi, wreszcie powierzchnia stearyny oziębiona zetknięciem z wodą, topi się o wiele wolniej od środka, tak że w końcu płomyk błyska w zagłębieniu, niby w studzience i gaśnie dopiero, gdy zabraknie knota.

Z ogrodownictwa.

3. Ogród warzywny.

Jest to dla mieszkańca wsi rzeczą bardzo wielkiej wagi, jeśli może niezbędne w codziennym życiu warzywa i ogrodowizny hodować we własnym ogrodzie; powinien zatem jak najtroskliwszą zwrócić uwagę na stósowne urządzenie i należyte wyzyskanie gruntu przeznaczonego pod ogród warzywny. Jeśli w ogrodzie kwiatowym staranna uprawa ziemi jest pożądaną, to w ogrodzie warzywnym jest ona nieodzownym warunkiem powodzenia.

Jeśli miejscowe warunki pozwalają na dowolny wybór odpowiedniego kawałka gruntu, to należy dać pierwszeństwo dobrej, czarnej, żyznej, głęboko spulchnionej ziemi przed każdą inną, lekką, piaszczystą, lub ziemią iłowatą. Ogród powinien mieć położenie otwarte, słoneczne, nie zacienione wysokiemi drzewami. Pomimo to, drzewa owocowe, mianowicie karły i pół-karły, oraz krzewy jagodowe, dają się bez szkody hodować w ogrodzie warzywnym.

Ogród warzywny zakłada się w pewnem oddaleniu od domu mieszkalnego i zasłoniętym bywa wysokiemi krzewami i kląbami.

Największa część naszych warzyw ogrodowych hoduje się z nasienia. Siew zatem jest rzeczą bardzo ważną dla ogrodnika. Najpierwszym do tego warunkiem dobre, zdrowe, posiadające w całej pełni siłę kiełkowania, a więc świeże nasienie, otrzymane z własnego chowu, albo sprowadzone ze znanego z rzetelności składu nasion. Nasienie zasiewa się na grzędzie osłonionej od wiatrów, mającej słoneczną wystawę, której ziemia szczególnie powinna być doprawiona i użyzniona dobrą ziemią ogrodową lub inspektową. Siew uskutecznia się rzutowo albo rzędowo. W pierwszym razie, nasienie rozsiewa się, o ile możności jak najrówniej i nie nazbyt gęsto, a potem przykrywa się, lekko ziemią za pomocą grabi, albo się przyprusza sypką ziemią. Przy siewie rzędowym, prowadzą się w pewnych odstępach płytkie rowki zapomocą znacznika, w które się nasienia regularnie wysiewa. W największej liczbie wypadków, mianowicie kiedy wysiane rośliny mają pozostać na tem samem miejscu, jak np. rośliny korzeniowe, trzeba oddać pierwszeństwo siewowi rzędowemu, ponieważ wtedy można spulchniać i oczyszczać ziemię między rzędami. Rzutowo sieją się zwykle takie rośliny, które następnie mają być przesadzane. Bujne ziarnka jak groch i bób sadzą się na miejscu, na którem mają rosnąć, w rzędy, albo w dołki. Przykrywanie nasienia ziemią stósuje się częścią do właściwości gruntu, częścią do wielkości nasienia, częścią zaś do pory roku. Drobne nasiona przykrywają się lekko, bujniejsze mocniej; na gruncie lekkim i w czasie suszy sieje się głębiej, na gruncie ciężkim i przy wilgotnej pogodzie, płyciej. Największa część warzyw zasiewa się na wiosnę, w Kwietniu i w Maju, niektóre zaś jeszcze w jesieni, albo też znacznie później i po kilkakrotnie, aby przez ciąg całego lata mieć zawsze młode i świeże jarzyny, jak np. rzodkiewka, kalarepa, sałata i t. p.

Ponieważ bardzo wiele na tem zależy, aby do przesadzania mieć silne, jak najlepiej wykształcone rośliny, a przytem wartość wielu gatunków bardzo wiele zyskuje przez wczesny ich rozwój, przeto dla wyhodowania takich roślin trzeba je zasiewać na rozsadnikach. Do tego celu służą płytkie, przenośne, drewniane skrzynki, albo nawet płytkie gliniane doniczki dające się ustawiać z łatwością w odpowiedniem miejscu, albo też większe skrzynie na kształt inspektowych, umieszczone w odpowiedniem położeniu. Urządzenie takiego »zimnego« inspektu jest bardzo łatwe, trzeba tylko obraną grzędę otoczyć ściankami z desek i przykryć ją oszklonem oknem. Na noc taka skrzynia otrzymuje ochronę od mrozu przez przykrycie jej słomianemi matami; w czasie jasnej pogody można okno zdjąć zupełnie, dla oswojenia roślin z powietrzem. Samo przez się rozumie się, że częste podlewanie roślin za pomocą konewki opatrzonej sitkiem jest koniecznie. Przy większej potrzebie warzyw lub kwiatów takie urządzenie rozsadnika bardzo się zaleca, ponieważ koszta zaledwie coś znaczyć mogą w obec korzyści, jakie on przynosi. (C. d. n.)



SYN BANKIERA.

Bankier (do syna): Przeszły raz przyniósłeś dobre świadectwo ze szkoły a dziś takie złe. Widzę, żeś spadł na ostatniego?...
Syn: Tate, a czy twoje papiery też nie spadają?...

Rozmaitości.

*** Jak długo żyją ludzie różnych zawodów?** Prof. Bertilllon pomieścił w czasopiśmie francuskiem »Revue scentifique« ciekawe spostrzeżenie nad wpływem zajęć na długowieczność, a są one tem ciekawsze, że są wprost przeciwne utartym pojęciom i zapatrywaniom. Jesteśmy tego powszech-

nie przekonania, że zajęcia na świeżem powietrzu lub ciągłym ruchu, dają siłę i zdrowie człowiekowi, a co zatem idzie i długowieczność. Otóż prof. Bertillon, opierając się na danych statystycznych za lata 1885 do 1889 roku, dzieli zajęcia ze względu na śmiertelność na 11 oddziałów: Do pierwszej zalicza, jako najniezdrowszej, a raczej największy procent śmiertelności dającej, te zajęcia, które wystawiają stale pracowników na zmiany pogody, jako to: zajęcia stangretów, doróżkarzy, bremzerów przy pociągach towarowych itp. Śmiertelność w tej klasie ludzi jest największa, a już do drugiego oddziału zalicza te wszystkie zajęcia, które podług mniemania za najzdrowsze są uważane, bo wymagające pozostawania ciągłego pod gołem niebem i ruchliwe, jak przewoźników, stróżów nocnych, rybaków, ogrodników i rolników. Następnie z kolei idą 3) fachy, wystawiające robotników na wdychanie pyłu materyałów twardych, jak np. kamieniarzy; 4) zniewalające do wchłaniania pyłu tychże materyałów w budynkach zamkniętych (rzemieślnicy); 5) zajęcia, przy których pracownik wdycha pył materyałów miękkich, (młynarze, piekarze, kominiarze); 6) profesye zmuszające człowieka do przebywania w silnem gorącu, w dymie; 7) fachy mające do czynienia ze szkodliwymi materyałami chemicznemi; 8) fachy, wyrabiające pijaków (handlarze trunków, piwowarzy); 9) zajęcia wymagające życia siedzącego; 10) różne zajęcia do których zaliczają się: księża adwokaci, sędziowie, nauczyciele, urzędnicy, inżenierowie; 11) praca lekarzy.

* **Oryginalny środek przeciw pijaństwu.** Duńczycy, pragnąc nadać pewną miarę w używaniu trunków rozpalających, a tem samem uniemożliwić rozpijanie się, aż do utraty zmysłów, wpadli rzeczywiście na pomysł skutecznego środka. Mianowicie wydali oni prawo, mocą którego osoba pijana, jeżeli się pokaże na ulicy, lub w miejscu publicznem, zostaje odwiezioną przez policyanta i to przy zachowaniu całej możliwej z pijanym grzeczności, dorożką do domu; zaś koszta, a często dosyć znaczne przez zniszczenie powozu, płacić musi ten szynkarz lub kupiec, u którego pijany wypił ostatni kieliszek. Zdawałoby się, że można do tego zastósować przysłowie »kowal zawinił a ślusarza powiesili,« — jednakże, gdy zastanowimy się nad niem poważniej, przekonamy się jak jest sprawiedliwem i głębiej wnikającem w naturę człowieka. Lepszy jeszcze sposób mają gdzieś w Ameryce. Tam każdego pijanego, który się na ulicy pokaże, wiozą do golarza, a ten goli mu włosy na głowie do samej skóry. Taki golec siedzi potem ze wstydu w domu i ma się na baczności, aby go znowu kiedy »golenie« nie spotkało.

* **Uczczenie pamięci Polaka.** Miasto Dijon we Francyi urządza temi dniami uroczystość pamiątkową na cześć generała Bosaka, który w roku 1870 poległ pod Dijon, jako francuski komendant brygady. Bosak nazywał się właściwie hr. Hauke i był bliskim krewnym matki hr. Hartenau, która jak wiadomo, była z domu Hauke i w Warszawie poślubiła księcia Aleksandra heskiego, ojca późniejszego księcia bułgarskiego Aleksandra Batenberga.

* **Służąca Dom Pedra.** W zeszłym miesiącu zmarła w Lizbonie Marya Schreiber, rodem z Górnego Szląska, wierna i przywiązana sługa cesarskiej brazylijskiej pary. Przybyła ona w roku 1853 do Rio de Janeiro, jako jedenastoletnia sierota, ojciec jej bowiem, z którym wyruszyła po za Ocean, zmarł podczas podróży. Dziewczyna była zrozpaczona, całemi dniami płakała; siedząc w domu emigrantów, nie chciała przyjąć żadnego pożywienia. Doszło to do uszu Dom Pedra, który kazał ją wziąć do domu przytułku dla młodych dziewcząt, gdzie ją sam często odwiedzał, troszcząc się, aby jej niczego nie brakło. Marya jednak przez kilka lat nie mogła przyjść do zdrowia; gdy je wreszcie odzyskała, na usilne prośby została przyjęta w poczet służby cesarskiego domu. Cesarzowa obdarzała ją wielkiem zaufaniem i względami; Marya Schreiber całą duszę i serce oddała swym dostojnym dobroczyńcom, a to uczucie hołdu, uwielbienia i wdzięczności wzrosło jeszcze, gdy Dom Pedro ocalił ją od roztratowania przez rozpłoszone konie. Gdy cesarska para poszła na wygnanie, Marya Schreiber towarzyszyła jej wiernie i pozostała przy swej pani aż do ostatniej jej chwili. Po śmierci obojga swych dobroczyńców martwiła się tak bardzo, iż popadła w ciężką chorobę, która złączyła ją z niemi na zawsze.

* **Ostróżnie z tak zwaną gumową bielizną.** Coraz więcej wchodzi w używanie noszenie szczególnej kołnierzyków i mankietów gumowych. Rzecz to może wygodna, zwłaszcza dla dzieci, tak prędko brudzących bieliznę — ale też i niebezpieczna. Oto w pewnem miasteczku niemieckiem zapalił się taki gumowy kołnierzyk na 3 letniem dziecku, które zmarło wskutek odniesionych poparzeń. Trzeba bowiem wiedzieć, że w skład materyału, z którego owe gumowe materyały się wyrabiają, wchodzi »celluloida,« zapalająca się bardzo łatwo za samem zbliżeniem do ognia, a płonąca nader żywo. Nauczyciele powinni przestrzedz przed niebezpieczeństwem dziatwę szkólną, u którejby taką bieliznę gumową spostrzegli.

* **Pierwszy szewc kameruński.** Kamerun posiada od kilku tygodni swego własnego, krajowego szewca. Jest nim przystojny murzyn, Józef Timba, młodzieniec, liczący siedmnastą wiosnę życia. Przed trzema laty przywieźli go misyonarze do Niemiec i oddali na wychowanie do klasztoru św. Ottylii pod Monachium, gdzie się uczył, a zarazem odbywał praktykę szewską. Obecnie powrócił do Kamerunu w podwójnym charakterze: urzędowym, jako cesarsko-niemiecki kancelista, i prywatnym, jako szewc. Warsztat urządził mu rząd niemiecki, i odprzedał na raty miesięczne; mieści się on w biurze Tamby. W przerwach

między przepisywaniem aktów robi buty i zeluje podeszwy ku wielkiemu zadowoleniu Europejczyków, jedynych dotychczas mieszkańców Kamerunu, używających butów.

ŻARTY.

Są i tacy.

Żydek: Ny, panie Bartek; nie chcecie jechać do Ameryki? Ja od pana Bartek kupię i chałupe i krowe i kunie i wszystko...

Bartek: A cóż to ty Mośku masz mnie za głupiego? Żeby w Brenzylei było złoto, to wy żydzi pewniebyście już byli dawno po nie pojechali...

Mądry pies i mędrszy Icek.

Pan: Patrzaj no Icku, jaki mój pies mądry; — on wszystko to robi, co ja robię...

Żyd: Ny, to ja idę...

Pan: A dla czego?

Żyd: Bo on jeszcze będzie chciał odemnie pożyczyć pieniędzy...

Myśliwi.

A.: Wiesz pan, są nieraz takie mądre psy, że przechodzą rozumem swoich panów myśliwych.

B.: Wiem, wiem, bo ja sam mam takiego psa!...

Praktyczny Icek.

Icek: Tate, te nasze żydki, to uny ogromnie głupie buły, jak przechodżyły przez morze czerwone...

Ojciec: Nu, czemu ty to gadasz, Icek?

Icek: Bo kiedy uny miały takie czerwone morze, to ony tam mogły sobie założyć wielkie farbiarnie a nie łazić po puszczy!

Na co gadanie?

Pani: Cóż to znowu jest; po głupie pół funta kawy poszłaś i siedzisz dwie godziny.

Służąca: Pani to zawsze na mnie krzyczy, a ja przecie cały funt przyniosłam.

W szkole.

Nauczyciel: Gdzie Judyta ucięła głowę Holofernesowi?

Uczeń: Przy samej szyi, panie nauczycielu.

Niestracona zguba.

A.: Wiesz co, w tym zamęcie całkiem głowę straciłem.

B.: Bądź spokojny, jak ją kto znajdzie to ci ją napewno odda, bo coby począł z taką głową?

Odjada... buty.

— Jakto?... pan Jacenty stołuje się w restauracyi?... a przecież prowadzisz pan życie rodzinne.

— A bo widzi pan, właściciel tej restauracyi zadłużył mi się za buty, a że nie posiada pieniędzy, więc zmuszony jestem jego buty odjadać.

Odpowiedź Redakcyi.

P. F. Wincenty Pol sławny poeta polski napisał:

Łatwiej urość w sławy dymie
Niż utrzymać sławne imię: —
Łatwiej sypnąć światu dary
Niż zapłacić jest dług stary:
Łatwiej w życiu dojść szczytności,
Łatwiej nawet się poświęcić,
I do cnoty świat zachęcić:
Niż dopełnić powinności. —
Ztąd ci radzę: nie o chwałę,
Ale dbaj o imię całe!

Szan. Czytelnikom,

którzy dotąd Nr. 1. „Światła“ nie odebrali, donosimy, że z powodu wyczerpania się pierwszego nakładu tegoż numeru, wydrukujemy go niebawem jeszcze raz i gdy zostanie ukończony, podamy w „Świetle“ wiadomość. Wtedy prosimy wszystkich abonentów, którzy Nr. 1. nie odebrali, aby nam podali swój adres, a chętnie prześlemy im Nr. 1. bezpłatnie i franko.

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu G.-Sz.